

Żabusia



GABRIELA ZAPOLSKA

MENAŻERIA LUDZKA

Żabusia

Była jasną blondynką, jasną jak słońce promienne...

Drobna jej, maluchna buzia; różowa i biała, śmiała się jakimś dziecinnym, naiwnym śmiechem, żłobiącym w pulchnych policzkach dwa rozkoszne dołki.

Z całej jej postaci zdawała się wydzielać woń właściwa różowym hiacyntom, a gdy ubrana w różową *matinée*¹ przesuwiała się ze śmiechem z pokoju do pokoju, jakaś srebrna smuga znaczyła jej przejście, smuga, którą pozostawia po sobie wschodząca jutrzienka.

Śmiała się ona zawsze, ta rozkoszna, jasnowłosa kobietka — śmiała się leżąc jeszcze w kołysce, potem w krzesełku konfesjonału — wreszcie u stopni ołtarza, gdy wlokła za sobą szumiący tren jedwabnej białej szaty.

Śmiech powitał nawet krzyk jej córki — bo nawet w cierpieniach umiała coś zabawnego wynaleźć.

Była bardzo pobożną i co dzień prawie biegła do kościoła.

Miała ładną książeczkę oprawną w kość słoniową i zbrudzoną na kartkach, które czerpiły się modlitwą *Za męża i rodzinę*.

To była jej święteczna książka — na co dzień miała wielkiego *Dunina*, którego czytała, strzelając oczkami na lewo i prawo lub przechylając główkę na atlasową koldrę swego eleganckiego łóżka.

Lubiła łąkocie i miała pod poduszką kilka daktyli, które jadła przebudziwszy się w nocy, chichocząc jak szalona.

Przepadała za wanilią i miała jej zawsze pełne kieszenie, lubiła grać w loteryjkę, przy tym szachrowała dość zręcznie.

Córkę swoją — małą, puciołowatą dziewczynkę — przezywała „Nabuchodonozorem²”, a męża „Rakiem”. Siebie samą, jakkolwiek miała na chrzcie św. imię Zofii, nazywała „Żabusią”. Często siadywała na dywanie i bawiła się z córką, przy czym następowała kłótnia o zabawki, które matka z córką wydzierały sobie wzajemnie.

Mąż, dobry, poczciwy filister³, urzędnik w jakimś towarzystwie asekuracyjnym, podkręcał wąsa i uśmiechał się z zadowoleniem.

— Dziecinnna! Ach, jaka dziecinnna ta moja Żabusia!

Ona z krzykiem zrywała się z ziemi, siadała na kolanach męża i rozpoczynała śpiewać...

Jechał pan,
Za nim chłop,
A za nim Żydóweczki
Pogubiły patyneczki⁴...

Śpiewając, wyciągała z mężowskich kieszeni pieniądze i z powagą dawała mu dziesięć groszy:

— Masz, Raku, na czarną kawę!...

Resztę pieniędzy chowała do toaletki. I Rak poddawał się tej tyranii, jakkolwiek dziesięć groszy dziennie, nawet dla urzędnika w towarzystwie ubezpieczeń, chyba za mało!...

¹*matinée* (fr.) — tu: poranny strój kobiety. [przypis edytorski]

²*Nabuchodonozor* — imię królów babilońskich. [przypis edytorski]

³*filister* (pogardl.) — mieszczanin. [przypis edytorski]

⁴*patyneczki* — rodzaj płytkich pantofli. [przypis edytorski]

Jakże się jednak sprzeciwić tej rozkosznej istocie, która z całą naiwnością patrzy mu w oczy i biały, pachnący karczek do pocałunków nadstawia? Brał Rak ową wytartą dziesiątkę i całował Żabusię, znajdując w tym wiele rozkoszy.

Była więc bożyszczem całego domu.

Kochał ją mąż, pomimo że tyranizowała go nieznacznie.

Kochało dziecko, pomimo że wydzierała mu zabawki i wyrywała włosy, czesząc dwuletnią dziewczynkę à la Mikado⁵.

Kochały sługi, pomimo że grymasiła bezustannie i czasem całe ranki siedziała w kuchni.

Nad wszystko jednak ubóstwiali ją rodzice.

Tych dwoje starych ludzi w Żabusi swej widziało uosobienie cnót i doskonałości wszelkich.

Żabusia — jedyne, wypieszczone dziecko — za wzór była wszystkim kobietom stawiana...

A gdy co wieczór zgromadzono się dokoła stołu oświetconego wiszącą lampą, Żabusia, wycinająca lalki z tektury lub lepząca abażury, była punktem koncentrującym wszystkie spojrzenia.

Ku niej zwracano się, uśmiechano, przesyłano pieszczotliwe słowa.

Ona — różowa, biała, wesola — poddawała się tym pieszczotom, tej wielkiej miłości, jaka ją otaczała, kąpiąc się niejako w ciepłe przywiązania i rozsiewając dokoła promienie szczęścia rodzinnego. Każdemu odwzajemniała się dobrym słowem, uśmiechem, a drażniąc Nabuchodonozora, głaskała dziecko po głowie; potrąciwszy służę, uśmiechała się do niej, nazywając „pocziwą idiotką”...

Nie — stanowczo nikt się nie mógł na Żabusię gniewać, lecz przeciwnie, każdy musiał ją uwielbiać jako wcielenie dobroci, wdzięku i prostoty...

Była ona uosobieniem kobiecości.

Miała tyle tkliwości w spojrzeniu, w głosie, w ruchach łaszczącej się kotki, że rozkosz było patrzeć, gdy na paluszkach skradała się, by uszczypnąć drzemiącego męża lub nasypać pieprzu w otwartą buzię córki...

Śmiała się przy tym rozkosznie i wdzięcznie przeginając, zasypywała pieszczotami przerażonego męża lub skrzywioną dziecinę... mówiła przy tym cieniuchnym głosikiem:

— Nie gniewaj się na Żabusię!...

Więc mąż uśmiechał się do tego białoróżowego zjawiska, dziękując Bogu, że dziecinne usposobienie żony pozwoli mu nie lękać się o naruszenie z jej strony wierności małżeńskiej...

I rzeczywiście — kręcąca się po domu z wesołą piosenką na ustach, ubijająca piankę w kuchni, przyszywająca guziki do męzowskiego palta lub nicująca⁶ krawaty, była uosobieniem kochającej żony i „milutkiej” kobiety.

Miewała jednak chwile, w których przychodziły jej na myśl poważniejsze refleksje.

Na przykład po przeczytaniu *Pani Bovary*, zamknąwszy książkę, usiadła u nóg męża.

W ręku trzymała kawałek *newchatelu*⁷, lecz nie gryzła go, ale pogrążyła się w zadumie.

Mąż, czytając „Kuriera”, nie przerywał ciszy.

— Wiesz, Raku — wyrzekła wreszcie — ta kobieta to zdradzała męża... niegodziwa, prawda?

— Hm — odparł zagadnięty — jeżeli mąż był niedołęga...

Lecz nie mógł dokończyć.

Żabusia porwała się nagle jak szalona.

— To nie upoważnia! — wołała — i ty, Raku, jesteś niedołęgą, a przecież cię nie zdradzam!...

— O — protestował mąż.

⁵*mikado* — tytuł cesarza Japonii. [przypis edytorski]

⁶*nicować* — wywracać na drugą stronę. [przypis edytorski]

⁷*newchatel* — gatunek sera szwajcarskiego. [przypis edytorski]

— Nie ma... o! Upiec na różnie taką kobietę... nic jej nie usprawiedliwia... to potworne!... W dodatku pani Bovary miała dziecko, o, takiego Nabuchodonozora!...

I tu Żabusia, porzuciwszy ser, chwyciła w objęcia córkę, która głośnym krzykiem zaprotestowała przeciw temu gwałtowi.

Rodzice tymczasem spoglądali po sobie.

O, tak! — oni wychowali Żabusię w świętych tradycyjnych przepisach cnoty i surowości. Ona wie, czym się brzydzić na świecie, co jest nikczemnością, fałszem i podłością...

To anioł!

Anioł domowego ogniska, który śmiechem swym troskę z czoła męża spędza, jest chlubą i podporą rodziców, troskliwą i czułą matką!...

To anioł ta Żabusia, kręcąca się w tej chwili po pokoju z szelestem jedwabnego szlafrocza...

Uosobienie wdzięku, miłości, niewinności, cnoty!...

Nagle Żabusia zatrzymuje się w tańcu.

Spogląda na zegar i kołysząc się, z wolna podchodzi ku mężowi.

— Żabusię głowa boli! — mówi, sadzając córkę na kolanach męża. — Żabusia pójdzie na spacer...

— Będę ci towarzyszył... — woła mąż.

— Nie chcę! — protestuje z miluchnym dąsem — pójdę sama! Rak tu zostanie i będzie Nabuchodonozorowi cacka⁸ ustawiał!...

— Ależ...

— No! Sprzeciwiasz się?

— Nie... tylko kawa!...

— Pójdiesz, jak wrócę... wtenczas dam ci dziesiątkę, inaczej z czym Rak do cukierni pójdzie?

Mąż jeszcze próbuje opozycji.

— Żabusia tak chce! — woła młoda kobieta, uśmiechając się zalotnie. — Żabusia bardzo prosi, główka ją tak boli!...

Rodzice uważają za stosowne interweniować.

— Ależ idź, drogie dziecko!... Przejdź się! — mówi ojciec.

— Pobladłaś, cierpisz widocznie — dodaje matka.

I za chwilę przez pokój, w którym jest zgromadzona cała rodzina, przesuwa się Żabusia w nowym sukiennym kostiumiku, okładanym szynszylami.

Wygląda jak młodziuchne dziewczątko w tym obcisłym żakieciku, a nowe buciki skrzypią z każdym krokiem.

Całuje ręce rodziców, mężowi nadstawia usta do pocałunku, córkę głaszcze po głowie i żegnana, obdarzona pieścizotami, staje jeszcze w w progu, przesyłając pocałunki końcami palców, ubranych w duńską rękawiczkę.

— Pa!... pa!... — woła — Pa, Raku, pa, Nabuchodonozorze!... pa, mamusi i ojczusiowi... a niech Rózia za pół godziny po sucharki pójdzie!... pa!!!

I cicho znika we drzwiach, pozostawiając po sobie gamę srebrzystego śmiechu i wspomnienie uosobienia niewinnego wdzięku kobiecego.

*

Przeciągly pocałunek przerwał ciszę.

Wśród bladego światła przyciemnionej lampy zamajaczyła nagle drobna postać kobieca, powstająca z otomany.

Kaskada jasnych włosów, rozsypana na zarumienione ramiona, drżała złotawym blaskiem; oczy błyszczącym fosforycznym ogniem migotały u tej kobiety, jak dwa błędne ogniki; usta namiętnie rozchylone, zgniecione w świeżym pocałunku miłosnym, zachowały jeszcze wilgoć zmysłowej ekstazy.

Wszystko w tej postaci tchnęło zmysłowością, szałem bachantki⁹ poddającej swą pierś pod uściski satyra¹⁰.

⁸cacko — tu: zabawka. [przypis edytorski]

⁹bachantka (mit. rz.) — ogarnięta szałem kobieta z orszaku Bachusa, boga wina. [przypis edytorski]

¹⁰satyr — bożek z kozimi nogami, symbol pożądania. [przypis edytorski]

Stała, wyciągając ręce wysoko nad głowę, przechylając się w tył, wciągając jakby w siebie cząstkę miłosego dreszczu.

Stojący przed nią mężczyzna zapalał właśnie papierosa.

— Mogłabyś zostać chwilę.

— O, nie, nie — odparła kobieta — muszę wracać, aby podejrzeń nie ściągać.

I zaczęła szybko nakładać żakiet i resztę ubrania. On jej pomagał, szukając po całej pracowni porozrzucanych drobiazgów, które przed chwilą zrywali oboje drżącymi od namiętności rękami.

Kapelusz zapadł gdzieś poza wielkie sztalugi, trzeba było go szukać... odsuwać draperię.

Oczy ich spotkały się, ręce splotyły się w uścisku. Cała bezgraniczna zmysłowa potęga zadrgała w tym jednym spojrzeniu. Gorąco aż biło od tych dwojga młodych ludzi ukrytych w cieniu odosobnionej pracowni malarskiej na ustronnej ulicy.

— Kiedy cię zobaczę?... — zapytał mężczyzna, cały drżący pod wpływem dotknięcia jej rąk rozpalonych.

Ona wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, kiedy się wyrwę, niełatwo to przychodzi...

On wstrzymywał ją jeszcze, obejmując miłosną pieczęcią.

— O, ale... niedługo!

Kobieta spojrzała mu znów w oczy.

Zielone błyski strzeliły spod jasnych rzęs...

— Szaleńcze! — wyszeptała zdławionym od wzruszenia głosem — czyż ja mogę istnieć, nie widząc cię dni kilka?...

A do progu już zwrócona, dodała pieściotliwie:

— Kochaj swoją... Żabusię!...

Portiera¹¹ zapadła, kobieta znikła pozostawiając po sobie całą smugę płomiennej namiętności drgającej w powietrzu.

Mężczyzna powstał chwilę, uśmiechając się jakoś ironicznie.

Po czym otrząsnął się, położył na otomanie i gwizdząc walca, zapalał zgasłego papierosa.

Nabuchodonozor tęsknił bardzo do mamy. Tęsknił i Rak, tęsknili i rodzice siedząc dokoła stołu, na którym nakrywano do herbaty.

Na białym obrusie rozstawiono filiżanki, a stary ojciec upominał pokojówkę:

— A uważaj, aby samowar gotował się dobrze, bo pani pewno zmarznięta powróci...

A matka układała sucharki, chowając lepiej lukrowane na spód, aby tylko dla Żabusi się zostały.

— Zimno jest, gdzie też ona tak długo bawić¹² może? — wyrzekł wreszcie mąż.

— Wstąpiła pewnie do kościoła — w adwent lubi przecież tam chodzić wieczorem — odrzekła matka.

— Jeszcze się zaziębi.

— Bóg ją od złego ochroni!...

Nastało milczenie.

Tylko Nabuchodonozor pociągał noskiem, bo cierpiał na katar okropnie.

Nagle drzwi otwarły się z trzaskiem.

We drzwiach stała... Żabusia.

Cała była jeszcze różowa, w oczach grały dogasające namiętne błyski.

Wszyscy rzucili się do niej z krzykiem:

— Żabusia!!!

Ona witała kolejno każdego, rozsypując całusy jak grad cukierków. Opowiadała przy tym wiele o zimie i o modlących się ludziach po kościołach.

Organy pięknie grają, świec masy płoną, a Żabusia siedziała w kąciku, a potem na spacer pięknie poszła...

¹¹portiera — zasłona. [przypis edytorski]

¹²bawić (daw.) — przebywać. [przypis edytorski]

Zrzuciła źakiecik i przyglądziła rozrzucone włosy.
— Herbatki! Prędziej! — wołał ojciec.
— Ja naleję!... — dodawała matka. — Biedactwo przeziębło, gotowa zachorować.
Ale Żabusia siedziała już na kolanach męża i śpiewała:

 Jechał pan,
 Za nim chłop...

Nabuchodonozor uszczęśliwiony opierał swą główkę o suknię, patrząc w oczy matki, w których gasły kolejno zmysłowe ogniki.

— Masz dziesięć groszy — wołała Żabusia dając mężowi monetę — idź, zabaw się ty teraz... biedny... Raku!

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/menazeria-ludzka-zabusia>

Tekst opracowany na podstawie: Gabriela Zapolska, *Menazeria ludzka*, Kantor Wydawniczy SAWW, Poznań 1994.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).